

## Melancholia i mitologia. *Noce i dnie* a pokusy słabości

Karolina Chyłą  
Uniwersytet Wrocławski

### Melancholy and Mythology *Noce i dnie* Tempted by the weakness

**Abstract:** The author analyzes tropes and techniques used in Maria Dąbrowska's *Noce i dnie* both to describe and to simultaneously reject peculiarities of the melancholic identity. She also claims that, despite of abhorrence which such extreme ontological fragility seems to provoke in Dąbrowska's world, novel as a whole manages to open itself discretely and sensitively to the several aspects of variously understood liquidity, weak subjectivity and incomplete presence.

**Key words:** melancholy, weakness, identity, myth

**Słowa kluczowe:** melancholia, słabość, tożsamość, mit

*Noce i dnie* to powieść wielu etykiet, wielu klisz i przesądów. Od lat wiadomo dobrze, jak o niej mówić, pewne narzędzia sprawdzają się nieodmiennie. Aby tę maszynę interpretacyjną pokazać w akcji, przypomnę tekst, który wydaje mi się symptomatyczny: zbiegły się w nim wszystkie kluczowe dla recepcji pisarstwa Marii Dąbrowskiej tropy i frazy. Chodzi o szkic Aleksandra Lipatowa *Epicki kształt „Nocy i dni” (Dąbrowska a Tolstoj)*<sup>1</sup>, zamieszczony w pokonferencyjnym zbiorze *Księga kaliska* (1996). Szkic ten mimo dystansu dwudziestu lat ciągle daje się czytać jako wyznacznik interpretacyjnego centrum, od tytułu począwszy, aż po Orzeszkową w ostatnim zdaniu; zwłaszcza że środkiem, wyjątkowo mocno nakreślona, przechodzi linia owych kategorii fundamentalnych, którą tak by się dało zrekonstruować: „kompletność” (45), „uniwersalny ogólnoludzki wydzźwięk” (46), „panorama epicka” (48), „jednolity i całościowy świat” (50), „dystans epicki” (51), „ogólna i wielka całość” (52). Podobne sformułowania można mnożyć. Z tego samego tekstu dowiemy się, że pisarstwo Dąbrowskiej to wyraz wiary

<sup>1</sup> A. Lipatow, *Epicki kształt „Nocy i dni” (Dąbrowska a Tolstoj)*, w: *Księga kaliska. W stulecie urodzin Marii Dąbrowskiej*, red. T. Drewnowski, Z. Libera i E. Steczek-Czerniawska, Kalisz 1996. Cytaty lokalizuję w tekście.

w wielki system wartości, jednoczący „ludzi wbrew narodowym, państwowym i politycznym przegrodom” (53) i że jej epopeję wyróżnia dążność „ku poznaniu istoty życia” (53), zwanej również „tajemnicą bytu” (53). Czytając o tym, trudno właściwie nie zapomnieć, że powieść, o której mowa, w samo swoje imię ma wmontowany nieredukowalny a skrajny rozłam (pierwotny tytuł działał zresztą tak samo, miał bowiem brzmieć *Pośród życia i śmierci*). I na to jednak jest miejsce u Lipatowa; nie nazywa on wprawdzie *Nocy i dni*, jak Christine Brown, ich niedoszła tłumaczka, całkiem dosłownie „powieścią opozycji”<sup>2</sup>, mówi jednak jasno o antynomiach, które porządkują jej rzeczywistość, a które sam ujmuje jako tragiczne: „dobra i zła, jednostki i społeczeństwa, wolności i ucisku” etc. (53) – i znów przykładów może być znacznie więcej.

Wydaje się całkowicie oczywiste, że wizja pierwsza (powieściowy monolit) i wizja druga (między antynomiemi) to w gruncie rzeczy awers i rewers jednej, w pełni z samą sobą tożsamej, wizji. Tam, gdzie chodzi o jasny, mieszkalny świat z ewidentnym zapleczem metafizycznym, opozycje wyłonić się przecież muszą. Co innego jest ważne. To mianowicie, że Dąbrowska je sama, od wewnątrz, kruszy, by nie powiedzieć: dyskretnie dekonstruuje. Stany przejściowe, płynne, poszukujące jawią jej się jako najwartościowsze, najbardziej płodne i literacko, i życiowo; do sprawy więzi łączącej obie przestrzenie jeszcze powrócę. Niechcicowie (czego właściwie nie chcą: czy jedynie wulgarnej materialności?) wyszli już ze wsi, ale do miasta (jeszcze?) się nie dostali. Barbara, nierozsądna i podejrzliwa, nie myśli uznać „przedustawnych” podziałów ani za jasne, ani za dobroczynne. A są postaci jeszcze radykalniejsze, bardziej ambiwalentne, bardziej osobliwie potraktowane, którymi warto byłoby się tu zająć: chodzi o postaci melancholijne.

Na początek słowo definicji. Piszę tutaj głównie o dwu postaciach, a przecież bohaterów i bohaterek, do których jakoś przystaje to określenie, zdaje się w powieści być nieco więcej. A zatem skąd zawężenie perspektywy? Dlaczego epizodyczny bądź co bądź Krępski, a nie Agnieszka, też w końcu postać niepozabawiona pęknięć lub wręcz tajemnic? Dlaczego Janusz, a nie jego ciotka – protagonistka, znana ze swej postawy kontestatorki, „na przemian «markotna» i «sroga» pani Barbara<sup>3</sup>? Trzeba powiedzieć, że i o nich także będzie tu mowa, tyle że jako o tych przez melancholię raczej wciąż nienaznaczanych niż naznaczonych, raczej dryfujących na marginesach niż tkwiących na stałe w samym jej centrum. Postać melancholijna ma u Dąbrowskiej pozycję całkiem szczególną, dla której konstytutywne jest nade wszystko doświadczenie siebie jako podmiotu skazanego na klęskę, tym przeraźliwszą, że ten, kogo dotyka, nie może się nią nawet uczciwie przejąć – za słabo bije egzystencjalny puls.

<sup>2</sup> C. Brown, *W poszukiwaniu Dąbrowskiej po angielsku*, w: *Księga...*, s. 179.

<sup>3</sup> H. Markiewicz, „Noce i dnie” *Marji Dąbrowskiej na tle polskiej tradycji powieściowej*, w: tegoż, *W kręgu Żeromskiego*, Warszawa 1977, s. 229.

Wspomniałam o doświadczeniu. Nie miejsce tutaj na szczegółowe przebadanie kontekstów, w jakich doświadcze(a)nie znajduje sobie wyraz w świecie Dąbrowskiej, zwłaszcza, że nie o melancholię tylko tu idzie (granice innej, całkiem odrębnej strefy postarałam się wstępnie zarysować pod koniec tekstu). Sądzę jednak, że właśnie uruchomienie tego pojęcia dałoby szansę nowej interpretacyjnej perspektywie, jednocześnie współczesnej i nader bliskiej pisarstwu autorki *Szkiełka*. To właśnie doświadczenie, a więc intymne wtajemniczenie jednostki w bycie we wnętrzu różnego rodzaju narracji, nie tylko wielkich – jak naród, klasa czy płeć, ale i mniejszych, choć precyzyjnie ustrukturyzowanych – jak melancholia, mogłoby stać się kluczem otwierającym zamknięte dotąd powieściowe obszary.

W zasygnalizowanym powyżej sensie postaci melancholijne są właśnie dwie (te pozostałe melancholijne widzenie czasem nawiedza, przychodzi jak odmienny stan świadomości, by po jakimś, krótszym lub dłuższym, czasie ustąpić miejsca temu, co naturalne, czyli codzienne). Dwaj ci bohaterowie zrazu niewiele nastroczają kłopotów, bo wyglądają jak klasyczne okazy z okolic roku 1900. Obaj pomyślni jako wariacje na temat jednej i tej samej osoby znanej Dąbrowskiej<sup>4</sup>, co w pewnym stopniu przynajmniej tłumaczy zawilgość ich podobieństwa. Pierwszy, Tadeusz Krępski, zjawia się dość wcześnie, by zaraz zniknąć; jest nie obecnością, ale jej pogłosem czy powidokiem wyposażonym w zdolność zauroczania (nie tego od uroku osobistego, tego od zaklęcia) właściwie wszystkich, których przypadkiem spotka, albo raczej którzy jego spotykają. Drugi, Janusz Ostrzeński, to w gruncie rzeczy dokładnie ta sama postać, wprawdzie poddana wielorakim zabiegom: rozbudowana, sproblematyzowana, uwewnętrzniona, ciągle jednak dająca się zidentyfikować jako ktoś w rodzaju Krępskiego B. Pieczołowita solidność kompozycyjna *Nocy i dni*, a też ich muzyczność – zresztą świadoma i w autokomentarzu akcentowana<sup>5</sup> – działają tak, że obecność na scenie kogoś znanego i na nowo opracowanego nie robi wrażenia dysonansu, ale dopełnienia, dopowiedzenia. Choć – jak się przekonamy – status i kształt postaci młodego Ostrzeńskiego stawiają pod znakiem zapytania adekwatność pojęć odsyłających do tożsamości, zamkniętości i pełni. Krępski zbyt jest rozwiewny i nieuchwytny, by otwierać możliwość czegoś zbliżonego do analizy, Janusz nie ustępuje mu kruchością materii i płynnością konturów, jest go jednak w powieści na tyle dużo, że już przez to samo łatwiej go czytać jako studium przypadku: dlatego właśnie i tutaj będzie go więcej.

Aby móc precyzyjniej nakreślić ramy doświadczenia melancholijnego w tekście Dąbrowskiej, warto, jak sądzę – choć nie jest to pomysł wolny od interpretacyjnej ryzykowności – sięgnąć po tekst z pozoru tak mu daleki, jak to tylko możliwe, ale w którego świetle parę szczegółów mało rozpoznanego krajobrazu widać wyraźniej.

<sup>4</sup> Zob. M. Dąbrowska, *Noce i dni*, oprac. E. Głębička, Warszawa 2013, t. 1, s. 92. Wszystkie cytaty podaję za tym wydaniem, korzystając ze skrótu NiD; cyfry rzymskie odnoszą się do tomów powieści, nie do woluminów.

<sup>5</sup> Zob. M. Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1965*, t. XI, Warszawa 2009, s. 55.

**Charles Baudelaire**

***Miłość kłamstwa***

Gdy widzę, jak przechodzisz, moja obojętna,  
I poddajesz harmonii smyczkowego pienia  
Krok, ruch, gest, drgnienie serca, a nawet rytm tętna,  
Wodząc nudę w głębinie swojego spojrzenia;

Gdy widzę upiękzone chorobliwym wdziękiem  
Czoło twoje, na którym się wieczór rozjarzył  
Od gazowych kinkietów w subtelną jutrzenkę,  
I oczy jak z portretu patrzące z twej twarzy,

Mówię: „Jakże jest piękna i świeża przedziwnie!  
Wieńczy ją ciężar wspomnień, ta wieża mądrości,  
A tak jak miąższ brzoskwini, ślepo i naiwnie  
Serce jej do wymyślnej dojrzało miłości.

Czyś owocem jesieni o smaku królewskim,  
Zapachem egzotycznych oaz i klimatów?  
Czyś żalobną amforą czekającą lezki,  
Wezgłowiec dla pieszczoty czy wiązanek kwiatów?

Wiem, są oczy z wyrazem czystej melancholii,  
Choć nie kryje tajemnic ich głębia zazdrośna,  
Sanktuaria bez bóstwa, szkatułki bez kolii,  
Bardziej puste i głębsze niż wy, o niebiosia!

Czyż olśnieniu nie starczy, abyś była złudą?  
Serce me gardząc prawdą przed pozorem klęknie.  
Czyś jest obojętnością, głupotą czy nudą,  
Maską czy sztychem – witaj! Wielbię cię w twym pięknie<sup>6</sup>.

Czy wiersz ten Dąbrowska знаła – nie sposób stwierdzić. Mogła, nie w przytoczonej powyżej wersji rzecz jasna, lecz w oryginale. Stwierdzić jednak należy, że w jej *Dziennikach*, tyle zawierających świadectw lektury – jeśli nie omówień, to przynajmniej zwięzłych notatek-wzmianek – autor *Kotów* nie zjawia się ani razu. Z innego jeszcze powodu wybór Baudelaire’a właśnie na przewodnika po zaniedbanych zakątkach *Nocy i dni* może się wydawać problematyczny: emocjonalny klimat jego poezji nie koresponduje raczej z tą akurat wersją melancholii, jaką Dąbrowska obdarza swoje postaci. Choć rzeczywistość baudelaire’owska tknięta jest nudą, spleenem i wyczerpaniem, gęsto w niej mimo wszystko od silnych wrażeń wszelkiego autoramentu, a w rezultacie czytaniu takiego świata towarzyszy odczucie różnorodności i zagęszczenia tego, co doznawane. U Dąbrowskiej przeciwnie: jedyną prawdą doświadczenia melancholijnego staje się nędza istnienia, którego doświadcza, jego rozproszenie, wątpliwość, nijakość, wieczna gotowość popadnięcia w rozkład, dezintegrację, czy też osunięcia się w głąb przepaści,

---

<sup>6</sup> C. Baudelaire, *Miłość kłamstwa*, przeł. Z. Bińkowski, w: tegoż, *Kwiaty zła*, Kraków 1994, s. 261.

której demoniczna łakoma bliskość nigdy nikomu innemu tak nie zagraża. Przypadek melancholika jest tu przypadkiem człowieka nie-skończonego, bez szans na podmiotowość, czyli zamkniętość, a jednocześnie już od wczesnej młodości (konotującej przecież między innymi właśnie bezformie) skończonego w potocznym, codziennym sensie, w obu znaczeniach słowa wyczerpanego: „Skończył się – nim się zaczął. Szkoda” (NiD I, 105) – jak o Krępskim mówi Bogumił Niechcic.

Tyle że właśnie tak – lub bardzo podobnie – pisze Baudelaire postać swej obojętnej: harmonijnej, leniwej, promieniującej podejrzanym urokiem, a pięknej tak, że to powoduje myśl o portrecie, jego niezmienności, życiu w bezczasie. Sama obojętna nie jest bynajmniej wyjęta spod prawa czasu, to kariatyda zwieńczona ciężarem wspomnień, kruche istnienie, które samo siebie z wysiłkiem dźwiga. Podobnie mają się rzeczy w *Nocach i dniach*, gdzie o Krępskim czytamy: „w twarzy, w ruchach i w całym zachowaniu się tego młodego człowieka było coś dziwnie sennego, nieobecnego” (NiD I, 105), a o Januszu, że sprawia pod koniec wizyty takie wrażenie, jakby był „doszczętnie wyczerpany niewielu słowy, które był wypowiedział, i paru kręgami walca, które odtańczył” (NiD III, 254). Przedostatnia strofa wiersza Baudelaire’a jest jak bluźnierczy zamach na nietykalność – niweczy fikcję głębi i autentyku i, co ważniejsze, robi to raz na zawsze, ostatnia bowiem jej nie rewindykuje, ale jednym niedbałym, swobodnym gestem ściera z powierzchni tekstu i opozycję, i ufundowaną na niej męczarnię. Janusz (on przede wszystkim, ale i z Krępskim bywa dosyć podobnie) również jest piękny w sposób niepokojący, a nawet odrażający czy wprost diabelski (zob. NiD IV, 47): jako żywy portret „męskiej Giocondy” (NiD IV, 213), na który wystarczy spojrzeć, aby na zawsze stracić spokój i wolność, a zarazem jako człowiek-pozór, chodząca próżnia, obsesyjnie zajęta troską o siebie, pożalowania godna, w dodatku taka, której nikt nie zechciał zaoferować wersji zbawienia choć w połowie tak śmiałej jak baudelaire’owska. Pytanie o to, dlaczego tak się nie stało, jest jednym z paru, na które chciałby odpowiedzieć lub raczej które chciałby sobie postawić ten tekst.

Mimo zachwyty, jakim na kruche piękno melancholików reagują w powieści wszyscy i wszystkie, nietrudno dojść do wniosku, że kruchość, miękkość nie są tam pomyślane jako neutralne, ontologicznie ani aksjologicznie: stanowią mają znaki wielkiej niemocy, z której przynajmniej jeden z tych bohaterów (być może obaj) zdaje sobie sprawę aż nazbyt dobrze.

„W doświadczeniu melancholijnym «ja» jest niszczone, drażnione – mówi w klasycznym już eseju Marek Bieńczyk – lecz – choć przecież puste, opróżnione ze swej substancji [...] – pozostaje minimalną obecnością, podmiotem straty i braku”<sup>7</sup>. W wersji Dąbrowskiej ta minimalna obecność, znużona sobą, nad sobą rozpaczająca i bolejąca, jest niby rysa na powierzchni rzeczywistości, niby otwarcie prosząca o wypełnienie, nie podmiot braku, ale wcielony brak – który u Baudelaire’a przybiera formę

<sup>7</sup> M. Bieńczyk, *Melancholia. O tych, co nigdy nie odnajdą straty*, Kraków 2012, s. 15.

czekającej amfory i nietkniętego, pozbawionego odcisku/śladu wezgłowia: jest „dla pieszczoty”, a więc także czeka, także jest pustką. Jak pisze o tetralogii Dąbrowskiej Włodzimierz Maciąg, „postaci tej powieści zjawiają się w polu obserwacji już wstępnie obdarzone zdolnością przechwycenia pewnych sił, zdolnością zaprzyjaźnienia się z bytem (jak powiedziałyby może Dąbrowska) – albo też upośledzone przez brak owej zdolności, co się da określić jako gnuśność, jako bezwolność, jako nikłość życia wewnętrznego”<sup>8</sup>. Wedle Sigmunda Freuda u źródeł melancholii tkwi, jak wiadomo, niespełniona, niezamknięta żaloba – najkrócej mówiąc: po obiekcie miłości. W *Nocach i dniach* realizowałyby ten scenariusz raczej Barbara niż dwaj kanoniczni melancholicy; owszem, i o nich mówi się półgłosem coś podobnego (zob. NiD I, 92; NiD III, 249), ale sama powieść myli tu tropy. Chociaż Dąbrowskiej postaci melancholijne w relacje mniej więcej miłosne się angażują (oprócz tych relacji w tekście nie pozostaje z nich, szczególnie z Krępskiego, nieomal nic), jest najzupełniej pewne, że i je również, jak wszystko, czego się dotkną, zarażą pustką, którą odczuwają jak znamię grzechu, jak coś nieczystego i wstydliwego, co przyszło z zewnątrz. Bo myśl, że źródło nieszczęść jest poza nimi, że je trzeba nazwać i zdemaskować, zdaje się tym, co ich sypką tożsamość swoiście spaja, co jej nie daje popaść w wielką amorfie. O Krępskim mało w tej materii wiadomo; Janusz Ostrzeński winą obarcza wszystko, między innymi – i to oskarżenie jako jedyne zostaje wypowiedziane *expressis verbis* – „książki zbójcekie”, złe, niszczące lektury (zob. NiD III, 348): gdyby nie Przybyszewski, zdaje się mówić, byłoby inaczej. Czuje się zrobiony z literatury, najdosłowniej: z papieru, i z tym kojarzy własną nieautentyczność, to znaczy klęskę. Mówi o sobie źle, kobiety, które trafiły w jego orbitę, przekonuje, aby jak najprędzej się wycofały, w przeciwnym bowiem razie czeka je zguba: nieautentyczność wszystkiemu odbiera wartość, on zaś nie chce innych czynić jej łupem – dość, że jego samego żre niby kwas.

Źle się stało [...], że na mnie pani trafiła. Ja nie umiem kochać. Nikogo. Ja jestem do niczego (NiD III, 346).

Na mnie machnij ręką. Jestem na szmele (NiD III, 489).

Czy również Krępski solidaryzuje się tak dalece z odnarratorskimi rozpoznaniem – nie wiadomo, działa jednak podobnie. Intensywności uczuć żaden z nich nikomu, jak mówi Janusz, napawając się zresztą osobliwie tym stanem rzeczy (zob. NiD III, 347), nie może dać, mogą ją jednak wydobyć ze swych partnerek, wyzwala ją w nich samym swoim biernie pięknym istnieniem, a to, co wydobyte i wyzwolone, samo z kolei wyzwala sprzeciw i lęk jako nie-miłość albo miłość niedobra, wybrakowana, wcale nie taka, jakiej było potrzeba.

Kochać ciebie nie można, [...] ale kto raz był z tobą, nigdy już nikogo nie pokocha, do śmierci nieszczęśliwy (NiD IV, 47).

<sup>8</sup> W. Maciąg, „Noce i dnie” Marii Dąbrowskiej, w: *Lektury polonistyczne: Dwudziestolecie międzywojenne. Druga wojna światowa*, t. II, red. R. Nycz, Kraków 1999, s. 140.

Bez odpowiedzi pozostaje pytanie, czy znajdowali się kiedyś po drugiej stronie: pełni, esencji, obecności, autentyczności, szczęścia. Można jedynie stwierdzić, że ta kusząca – z punktu widzenia światopoglądu Dąbrowskiej – wersja wypadków stale kołysze się pod powierzchnią tekstu i mimo wszystko na tę powierzchnię nie wypływa. Oto niespodziewanie Janusz wysłał do przyjaciela(?) list, w którym obiecuje wyjawić wreszcie tajemnicę swego „fatalnego usposobienia” – „nędzną tajemnicę”, jak sam powiada (NiD IV, 213). Ceglarski jednak nie może pospieszyć na wezwanie (długo na nie czekał, prawdopodobnie, że właśnie z myślą ostatecznego rozwiązania zagadki zbliżył się z Januszem – zob. NiD III, 241) i wpada w rozpacz: minie sposobna chwila, obiekt jego badań zamknie się w sobie, znów się z niczym nie zwierzy:

Na myśl o tym burzył się i postanawiał, że nie zawaha się jednak przed wkroczeniem bez skrupułu we wnętrze tej zatajonej natury, przed zatarganie nią tak, aby obnażyła na koniec swą pustkę lub swoją tajemnicę i zaczęła żyć życiem prawdziwego człowieka. Cieszył się, że jest jednak jakaś tajemnica, jakieś coś, o co się można zaczepić [...]. [...] To znów mówił sobie zniechęcony, że [...] list był tylko jednym z żalonych mameł próżności, pragnącej wmówić w siebie i drugih, że jest się czymś więcej, niż się jest (NiD IV, 213; wyróżn. moje – K.C.).

Spotykają się wreszcie, do żadnego wtargnięcia jednak nie dojdzie. Janusz okazuje się ciężko chory, a samozwańczy wybawiciel *in spe* – żałośnie zbędny. Janusz umiera, mającąc o południowych krajobrazach. Zabiera ze sobą do grobu swój pusty sekret czy też może sekret swojej pustki: „rzecz ta miała pozostać na zawsze niepojęta” (NiD I, 205), jak czytamy, wprowadzając w związek z Krępskim, którego sprawy w powieści również dotyczy syndrom nieomówienia; choć sprawa ta, wyraźnie z góry przegrana, też doczekała się swojej orędowniczki, również, mimo determinacji, nieskutecznej:

niestety, i ja nie mogłam obudzić Twej melancholijnej duszy do życia i radości. Uważam to za swą winę, gdyż nie dość Cię kochałam, nie mogłam Cię takim, jak byłeś, dość pokochać... [...] nie mogłam Ci się całkowicie poświęcić, czego stan ducha Twego wymagał (NiD I, 203–204).

Jak widać, nie tylko Ceglarski wobec Janusza, ale i Teresa wobec Krępskiego wyraża wolę przeciwdziałania złemu, nie bez przyczyny szukającą ujścia w metaforyce pielęgniarstwo-filantropijnej. Zarówno Ceglarski, jak i Teresa (zwłaszcza Ceglarski, Teresa zbyt szybko znika) to nosiciele powieściowego sensu, depozytariusze autentycznego, esencjonalni do granic wytrzymałości, chcący obdzielić mocną podmiotowością tych, w których wyczuwają jej niedostatek. Swoim (potencjalnym) „podopiecznym” (dla Ceglarskiego takim obiektem troski jest też Barbara) przyglądają się z bólem i nieufnością, fascynacją i politowaniem. A podopieczni?

Janusz uśmiechnął się. Sprawiało mu pewną przyjemność, że gdy inni pochlebstwami stawali się w niego pożądanymi zalety, Ceglarski bez litości obnażał jego nicość (NiD III, 459).

Dąbrowska trzyma swoje „słabe” postaci niemal w dwóch palcach, o ich „ja” w stanie nieważkości mówi w najlepszym razie z chłodną niechęcią i bezustannie przemawia do rozsądku własnemu światu, z uporem widzą-

cemu coś niezwykłego i jedyne w swoim rodzaju tam, gdzie jest przecież maska z *papier-mâché* – cóż stąd, że piękna. Niezbyt przekonująca wydałaby się jej chyba myśl Guardiniego – na tle rozpoznań innych teoretyków melancholii rzeczywiście raczej ekstrawagancka – który w doświadczeniu tego rodzaju widział „intymne ciążenie duszy w stronę wielkiego centrum, pęd ku wnętrzu i głębi, gdzie dusza wchodzi w związek z ciemnymi podwalinami, z zakrytymi złożami istnienia, z nocą bytu”<sup>9</sup>. A ostatecznie, rzecz jasna, spotyka Matki, tak jak spotkał je Faust. U Guardiniego głębia melancholijna nie straszy pustką, przeciwnie: wręcz pulsuje treścią i życiem. Krępski i Ostrzeński to zatem ludzie w guardinowsko-goetheańskim sensie osieroceni, pozbawieni platońskiego jądra. Ich wydrażona i rozchwiana tożsamość trwa zawieszona w stanie wielkiej niełaski, nieusankcjonowana i źle obecna. Dąbrowskiej imaginarium melancholijne nie jest prowokujące, uniezwykłe jak guardinowskie; wręcz przeciwnie: wyraźnie „głównonurtowe”, intuicyjnie bliskie nader szeroko rozumianym tradycjom: najkrócej mówiąc, od Arystotelesa przez Ewagriusza z Pontu, Roberta Burtona, Zygmunta Krasińskiego, Charlesa Baudelaire’a aż po Sigmunda Freuda. Człowiek czarnej żółci (i czarnej ziemi, mocno z nią kojarzonej) – nawet pochłonięty własnym cierpieniem – zawsze okaże się chłodny i apatyczny; sennie wsłuchuje się „w pustkę swojego wnętrza. Pustką taką, że zdawał się słyszeć w niej echo tego, co się dzieje dokoła, niby w zimnej i ciemnej studni” (NiD III, 333).

Te ustalenia nie dotyczą Barbary, gdyż mimo „wiecznych zmartwień” i niepokojów nie jest ona rasową melancholiczką. Ale właśnie dlatego jej przyszło zająć pozycję „obserwatorki uczestniczącej” w najbardziej chyba melancholijnej scenie całej powieści. Krępski czy Janusz wyręczyć jej w tym nie mogli, a to, że obaj już w tym czasie nie żyli, to jak się zdaje, wcale nie najważniejszy z wielu powodów. Chodzi o coś innego: siłą tej sceny jest dojmująca ostrość lęku i smutku, której, jak już wiadomo, żaden z nich dwóch po prostu nie byłby w stanie właściwie odczuć:

Jeden koniec stołu zajmowała młodzież, [...] na ogół urodziwa [...]. Ale pani Barbarze ta uroda wydała się raptem strasznie ziemską, a nawet ziemną. Wprost jakby patrzyła na wyborowe odmiany płodów ogrodnictwa i hodowli – na rasowy pokaz owoców, jarzyn, ogierków, charciąt i kotek ludzkich. I cały stół [...] wydał jej się raptem niby gromada istot wieńczących udanie dzieło natury, co stworzyła kamienie, rośliny i zwierzęta, lecz kończących się nieodwołalnie na sobie samych. Aż dziwiła się, że zamiast śmiechów i słów nie słyszy pobekiwań, pokrzykiwań i ptasich świegotów. Nigdy jeszcze nie wierzyła w teorię Darwina tak mocno, jak w tej chwili. Istnienie duszy wydało jej się kosztownym wyjątkiem albo może kalectwem, wybrykiem wśród przyrodzenia. Tak jak chorobą, kalectwem brzozy są zagnatwane, a tak uroczes arabski czeczotkowego drewna, z którego miała starą komódkę po matce.

– Mamże ja w końcu duszę? – myślała skłopotana. – Duszę kalectwo, czy duszę wyjątek bezcenny? A może jestem tylko poronionym tworem gatunku: człowiek? Po prostu za mało hoża i silna, żeby się oddawać w pełni uciechom ciała. Jak głupia marzę o ideałach, o duszy, kiedy to tylko fanaberie niezdrowej wyobraźni (NiD IV, 268–269).

<sup>9</sup> M. Bieńczyk, *Melancholia...*, s. 34.



Barbara myśli tu stylem i obrazami, których prawie nie sposób dziś nie skojarzyć z tymi obecnymi u jednego z największych praktykujących teoretyków melancholii w XX w. Choć Emil Cioran – o niego właśnie mi idzie – w czasie, kiedy Dąbrowska kończyła pracę nad *Nocami i dniami*, miał debiutancką książkę jeszcze przed sobą, a gdy po latach padło w jej *Dziennikach* jego nazwisko, okazał się autorem „przerażająco pesymistycznych myśli”<sup>10</sup>, które cytował w listach jego wielbiciel, Jerzy Stempowski<sup>11</sup>. A jednak – podobieństwa są niewątpliwe. „Prawdziwy dreszcz sceptycyzmu poczuć można tylko przy suto zastawionym stole”<sup>12</sup>, „a by stać się częścią rzeczywistości, trzeba zaćmienia wierzącego albo idioty”<sup>13</sup> – Barbary te zagrożenia raczej nie dotkną. Duszę najlepiej byłoby zlikwidować, razem z jej jadem i jej potrzebą głębi<sup>14</sup>. „Gdyby nie było dolegliwości ciała, nie byłoby duszy”<sup>15</sup>. Kiedy/jeżeli ona zostanie zapomniana, będziemy wolni<sup>16</sup>.

Czy rzeczywiście tylko taka jak ta przestrzeń wolności daje się w świecie tetralogii pomyśleć? Czy wraz z zarysowanym, tkniętym rozkładem, „okaleczonym”, choć dojmująco pięknym melancholikiem, istotnie egzorcyzmuje Dąbrowska wszystko, co miękkie, względne, ledwie paroma kreskami naszkicowane – całą siłę słabości? Do odpowiedzi, jak sądzę, zbliżyć nas może postać nie tylko nie najlepiej ukształtowana, ale wręcz stanowiąca jawne potknięcie, bezdyskusyjne, również dla najzyczliwszych<sup>17</sup>, słabe ogniwo. Myślę tu o Agnieszce. Że pisząc ją, Dąbrowska pisała siebie – to rzecz wiadoma. Pisała bez dystansu, za to z lubością: o jej naturze silnej i niezależnej, o jej przewagach intelektualnych i towarzyskich. Agnieszka – tak, ta ma wcale niemało do powiedzenia, ale czy kobiety, którą się stała, też to dotyczy? Nieprzypadkowo właśnie Agnieszkę-kobietę chce tu przywołać, powieść na dobrą sprawę tego unika. Matka od najmłodszych lat życia córki demaskuje ją jako Niechcicównę; demaskuje, bo z wyraźną pretensją odkrywa cechy, które zbliżają Agnieszkę do Bogumiła, a tym samym – przynajmniej tak to odczuwa – oddalają od niej i od jej krwi (ważny to dla niej wątek i ważny obraz). Coś w tych intuicjach z pewnością jest – Agnieszka, skłonna raczej ostro traktować dom i właściwie wszystko, co się z nim łączy, jeśli z którymś z rodziców wchodzi w alianse, raczej nie jest to matka. Agnieszka chce być mocna, jasna, prawdziwa – chce być ojcowska. Ale czy wyłącznie? I czy na pewno? Nie kto inny przecież, ale Agnieszka wypowiada taką, zadziwiająco współcześnie brzmiącą, rozterkę:

<sup>10</sup> Tamże.

<sup>11</sup> M. Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1965*, Warszawa 2009, t. 11, s. 11.

<sup>12</sup> E. Cioran, *Zarys rozkładu*, przeł. M. Kowalska, Warszawa 2006, s. 161.

<sup>13</sup> Tamże, s. 135.

<sup>14</sup> Por. tamże, s. 176.

<sup>15</sup> Tamże, s. 216.

<sup>16</sup> Por. tamże, s. 176.

<sup>17</sup> Zob. T. Drewnowski, *Rzecz...*, s. 194–195.

jak starać się, żeby samej robić wszystko jak można najlepiej, a nie wyróżniać się. I żeby nikt nie był ostatni ani słabszy, ani gorszy. Ach, jakie życie jest trudne (NiD III, 439).

Ten boleśnie szczery końcowy okrzyk stawia ją w położeniu, w jakim nierzadko staje dość spora grupa ludzi *Nocy i dni*. Zakłopotanie życiem (zdziwienie również, ale przede wszystkim zakłopotanie), jakaś spłoszona wobec niego bezradność częściej się tam zdarzają niż by z pozoru można było przypuszczać:

– Na czyje siły, na czyj rozum obliczone jest życie? – myślał [Bogumił – przyp. K.C.], gdyż wydało mu się o tyle za ciężkie na siły i rozum człowieka (NiD III, 195).

Albo:

– Jakie to życie jest, że go nikt pojąć nie może – mówiła [...] Felicja [...]. – Choć człowiek do życia zrodzony, to nic go nie rozumie (NiD III, 315).

Tymi i podobnymi słowami i myślami swoich postaci Dąbrowska w znacznym stopniu osłabia zarzut twardej, aroganckiej pryncypialności, który, przynajmniej, aż nazbyt łatwo byłoby jej postawić zwłaszcza po rozpatrzeniu spraw melancolików i melancholii. Pamiętajmy jednak, że najważniejszą chyba w tym względzie kwestię – apel-życzenie, by nie istniała gorszość – powierzyła autorka *Na wsi wesela* pensjonarce, komuś z definicji niepoważnemu. Czy równie mocno zabrzmi, kiedy wypowie ją Agnieszka dojrzała?

– O jakby to było dobrze – szalały myśli – żyć tak nieosobiście, ale nie w znaczeniu poświęcenia, [...] tylko tak jakoś, żeby brać udział w każdej pracy, świętować w każdym święcie, nie znać, co to jest obcy człowiek, wszystko każdemu ofiarować, a z nikim nie wiązać się wyłącznie. Umieć zniknąć bezimiennie w gromadzie, a zostać mimo to sobą, zaznaczyć w świecie swój ślad, jedyny, niepowtarzalny... Myśli te, ledwo błysnąwszy, wnet przepadały niby przedwczesne ukazanie się dalekiego szczytu i skrycie się go w załamaniach, zakrętach bliższej drogi (NiD III, 553).

Jest w tym fragmencie o bachtinowsko-karnawałowym smaku wola tworzenia wspólnoty tak inkluzywnej, nieopresyjnej i płynnej, jaką tylko jest w stanie sobie wymarzyć „biedny” – znacząco powtarza Dąbrowska – człowiek. Jeśli tak wygląda droga na szczyt, może Agnieszka liczyć na doborowe i jednocześnie nader zróżnicowane towarzystwo w czasie wspinaczki. Jeśli ktoś u Dąbrowskiej broni prawa myśli do gier i prób, a nawet jawnych dziwactw i niespójności – to przede wszystkim (nie jedynie) Agnieszka, utrzymująca, że „Myśli się tak i owak, a życie spodem robi swoje” (NiD IV, 113). „Pewno wszystko co żywe – dorzuca jeszcze, nie bez powodu opatrując to credo znakiem wahania – jest takie niekonsekwentne” (NiD IV, tamże). Ale Agnieszka, jak wiemy, bywa też inna: apodyktyczna, drażliwa, ma się poczucie, że w niektórych dyskusjach zwłaszcza czwartego, lecz i trzeciego tomu bierze udział niemal wyłącznie po to, by się do woli nasłuchać własnego głosu. Niewykluczone, że jej milczący ojciec lepiej rozpoznaje nowe zadania, a nawet w jakimś sensie lepiej rozumie, na czym ich nowość polega, chociaż on sam w następnym pokoleniu uznaje tych, którzy mu to dopiero sprawnie wyłożą:

Coś przesunęło się w nim ku innej stronie. Ku jakiej? To będą może dopiero wiedziały jego dzieci. [...] Zajmował całe życie przechodnie stanowisko, z którego tak jak na wędrownce nie widać już, skąd się wyszło, ani jeszcze - dokąd się idzie. Basię męczyło to, a on wytrzymywał, ponieważ oczyma i sercem utkwiał w pracy, niby w zbawieniu. Ale być takim przechodniem, nieprzywiązanym do niczego, co stałe, opartym li jedynie na tworzącej pracy, nie jestże prawdziwym stanowiskiem człowieka? Na pracy i jeszcze może... (NiD IV, 277– 278).

Na czym jeszcze – nie sposób z pewnością stwierdzić. Trudno jednak w kontekście tego fragmentu nie myśleć o Bogumił jak o człowieku-moście, człowieku-przejściu z pierwszych pouczeń Zaratustry, którego on wyróżnia swoją miłością:

Miłuję tych, którzy nie ponad gwiazdami szukają powodu, by zejść i paść ofiarą, lecz którzy ofiarowują się ziemi [...]. Miłuję tego, kto pracuje i dokonuje wynalazków<sup>18</sup>.

Jest, jak sądzę, i inna nietzscheańska figura ludzka, której rysów można by się dopatrzeć w ojcu Agnieszki: figura nihilisty budującego. Bogumił wie, że aksjologiczny wymiar jego działania tylko dla niego pozostaje czytelnym, że dla innych, w tym – co szczególnie bolesne – dla Barbary, jest oczywiste, iż praca ta dryfuje w etycznej pustce, bez jakiegokolwiek sankcji, niezatwierdzona, a więc nieistotna, bezwartościowa. Wie jednak również, choć niełatwo przychodzi mu to wysłowić, że sam nadaje jej szczególnie znaczenie, oraz co to znaczenie dla niego tworzy.

– [...] my [...] przemieniemy, a ziemia się zostanie – mówi Bogumił. – Musi być w ziemi wszystko zrobione tak, jak trzeba. Na to sięje, by wzeszło, reszta mnie nie obchodzi.

– A mnie właśnie tylko ta reszta obchodzi. Jeżeli służyć, to już czemuś wielkiemu.

– Dla mnie praca na roli jest wielką rzeczą. Ja w niej widzę to, czemu warto służyć. I temu służyć (NiD I, 210; wyróżn. moje – K.C.).

Ziemia Bogumiła jest wartością, daje bowiem radość, poczucie mocy, „rozkosz osiągania coraz to lepszych wyników pracy, wznoszenia się do coraz większych w niej wysiłków” (NiD IV, 191); stanowi warsztat uporczywego działania (NiD, tamże), sprawia, że nie jedynie dla reprezentantów młodszych pokoleń, lecz i dla generacji ojców w *Nocach i dniach* otwiera się szeroko przestrzeń twórczości.

Nie zmienia to wszystko faktu, że najbardziej nietzscheański tekst w pisarstwie Dąbrowskiej jest od *Nocy i dni* cokolwiek starszy, nazywa się *Pocieszenie* i należy do zbioru nowel *Ludzie stamtąd*; co bynajmniej nie znaczy, że w innych tekstach autorki *Trzeciej jesieni*, starszych i młodszych, inspiracje i tropy nietzscheańskie są niewyraźne czy też słabo uchwytny, tak bowiem nie jest. *Pocieszeniu* jednak przypada tu stanowczo rola specjalna. Ta klasycznie zwięzła, klasycznie prosta, w całym znaczeniu nowelowa fabuła zdaje się dyskretnie korespondować z tym, co się potem wydarza w pewnych istotnych scenach *Nocy i dni*, na zasadzie i zbliżeń, i przeciwstawień. W *Pocieszeniu* jest pogrzeb w pełni lata – biedny, wiejski, z całą

<sup>18</sup> F. Nietzsche, *To rzekł Zaratustra. Książka dla wszystkich i dla nikogo*, przeł. S. Lisiecka i Z. Jaskuła, posłowie M. P. Markowski, Warszawa 1999, s. 15.

gamą szczegółów nie tyle nawet spod znaku naturalizmu, ile jak gdyby barokowej makabry; jest ciało rzucone na żer boleśnie jawnego i wstrętnego niszczenia; jest niedowierzająca bezradność tych, co zostali i coś muszą z tym zrobić, jakoś się koło tego wszystkiego krzątać, ciągle niepewni, czy się aby nie ockną z ciężkiego snu. Wszystko to spokrewnia pogrzeb Wityka z powieściowym pogrzebem babci Ostrzeńskiej, zwłaszcza że ciało, nim ostatecznie wydane zostanie śmierci, w obu tekstach przeszło wstępnym bojem przez inne doświadczenia ze sfer ograbiania i odzierania – w powieści jest to zniedołężnienie starości, w noweli praca i zaczajona w cieniu pracy choroba. Ciało Wityka, wydrążone chorobą, suche i lekkie, znika w uchylonej gościnnie ziemi. I w tym momencie kończą się analogie, a zaczyna to, co Dąbrowska zrobiła w swoim pisarstwie chyba raz jeden: skok w same ciemne trzewia dionizyjskości. Podkościelny śpiewak, wędrowny dziad, który w pogrzebie wziąć udziału nie zdążył, wraca z cmentarza i zmęczony upałem, kurzem i drogą przysiadła w rowie, gdzie bujnie, dziko, z schulzowską „napuszyistością” rosną zioła i trawy, chwieją się liście, sypie się kwiatny puch i płaczą korzenie. Siada, dotyka, pieści, zapada się:

Siedząc w pachnącym ziele mówił do siebie:

– Jak tyż to urosło wszędzie, jak to urosło. Jako to ta zimia tutek tłusta<sup>19</sup>.

Ziemia jest czarna, a wyrosłe na niej ziele „bardzo kwitnące”. W *Nocach i dniach* narrator powiada o Barbarze:

Na ogół niedostępne jej było to najcenniejsze źródło męstwa, pociechy i spokoju, które płynie z przyjęcia groźnej prawdy, że istnienie jest i może być jedynie tragedią (NiD III, 200).

Jeśli Barbara jest, czym chciałoby się ją widzieć intuicyjnie, a co sugerują, nie korzystając wprawdzie z aparatury autora *Wiedzy radosnej*, zarówno sama Dąbrowska, jak jej badacze i badaczki<sup>20</sup> – nietzscheańską przeciw wagą męża, jeśli w ogóle może być dionizyjska, to dionizyjskością pokaleczoną, obolałą, cierpiącą, stanowiącą dla siebie i dla innych źródło udreki, jak gdyby mit – przywołajmy słowa Bogumiła – „skończył się, nim się zaczął” (NiD I, 105): na rozszarpaniu, wielkiej dezintegracji. Barbara, pozbawiona umocowania w groźnej prawdzie o tragiczności życia, może być jedynie „wiecznie zmartwionym”, groteskowym chaosem. Pozbawiona mocy pesymizmu wynikającego z pełni istnienia, z całkowitego przyjęcia do wiadomości prostego faktu, że ziemię przyjmującą kolejnych zmarłych porasta zasypany kwiatami gąszcz, jest „po prostu za mało hoża i silna, żeby się oddawać w pełni uciechom ciała” (NiD IV, 268); nie tylko w skromnym i oczywistym sensie, jaki mają one w jej rozmyślaniach prowadzonych przy zastawionym stole, lecz i w sensie innym, bardziej wszechstronnym. Niezdolna jest, wbrew własnemu pragnieniu, połączyć się miłośnie z rzeczy-

<sup>19</sup> M. Dąbrowska, *Pocieszenie*, w: tejże, *Ludzie stamtąd*, Warszawa 1987, s. 99.

<sup>20</sup> Zob. np. T. Drewnowski, *Rzecz russowska. O pisarstwie Marii Dąbrowskiej*, Kraków 2000, s. 185–186; E. Głębińska, *Dąbrowska (nie)znana*, Warszawa 2016, s. 88–89.

wistością, jej dotykalaną, pożądaną materią, tak jak Agnieszka, której się to udaje i która swoje poczucie jedności z bytem, ucieczki z kręgu *principium individuationis*, takim właśnie językiem chce opowiadać:

– [...] przekonałam się, że jeśli [...] myśli są coś warte, to tylko te, co powstają nie ze ślęczenia nad książkami, ale z takiego... miłosnego – poczerwieniała – zespolenia się z życiem. W działaniu... w doznaniu... Naprawdę, to jest jedyny sposób nie tylko przeobrażenia, ale i poznawania rzeczywistości. No... nie jedyny... ale dziś, zwłaszcza dla nas, najlepszy... Mówię z doświadczenia (NiD IV, 126).

A jednak Nietzsche jako filozof ciała, tańca i zmysłów nie pociągał Dąbrowskiej, przynajmniej tej, która w dzienniku jeszcze niemal młodzieńczym wyrzuca sobie: „Za dużo brałam z życia, chciwie, podle, jak chłopka”<sup>21</sup>.

W *Nocach i dniach*, tak plastycznych i synestezyjnych, w ogóle dziwnie mało jest przygód ciała, jego wrażeń i, jak mówi Agnieszka, twórczych doznań. Bohaterki i bohaterowie rzadko biorą tu w siebie dźwięki i barwy, zapachy i faktury rzeczywistości; one są poza nimi: choć wyraziste, przecież paradoksalnie niesomatyczne, niepostrzeżenie eskamotowane przez narratora, jakby tylko narrator miał pełne prawo nimi się napawać. Napawać, bo doznań przykrych lub obojętnych jest tu niewiele. Człowiek obojętny w dowolnym sensie z zasady nie jest dla Dąbrowskiej ciekawy, jak dowodzą przykłady melancholików. Z pozoru aż przelewa się przez ramy powieści ekspansywna cielesność: ciało pracujące, chore i martwe, ciało tańczące (ale bez wielorakich znaczeń i konotacji, jakie by można nietscheańskim sposobem z niego wydobyć), gorączka i miesiączka, krew, pot i łzy. A wszystko to przemyślnie poukrywane w zakamarkach fabuły – chcąc się przyjrzeć, trzeba wyłuskiwać. W liczącym ponad pół tysiąca stron tomie *Miłość* ciało pragnące i ciało upragnione są zamaskowane i tak ostrożne, że niemal nieobecne. Jest miłość wybrakowana i odpychana, niewczesna i przedwczesna, są fantazje i zdrady, tkliwość i wstyd, ale miłości erotycznej, zmysłowej, nieomal nie ma.

Nietzsche Agnieszki (i, można podejrzewać, samej Dąbrowskiej) to, niezależnie od możliwych nawiązań do innych jeszcze przestrzeni jego pisarstwa, *Narodziny tragedii*. To Nietzsche ciągle jeszcze operujący tradycyjnie wartościowanymi opozycjami głębia – powierzchnia, rzeczywistość – pozór, prawda – fałsz; Nietzsche z królestwa Matek, przekraczający zasadę indywidualności i z tego przekroczenia czerpiący rozkosz, Nietzsche z *Wiosny Schulza* (niech znowu padnie w ekstrawaganckiej z pozoru bliskości z Dąbrowską to nazwisko). Jak rzecz wygląda w praktyce? Na przykład tak – chodzi, ma się rozumieć – o Agnieszkę:

poczula jakby znikanie i rozpraszanie się samej siebie. Natomiast ze wzrastającą siłą, choć już nie za pośrednictwem zmysłów czy myśli, zaczęło występować niby doznające się samo w sobie istnienie ziemi, nieba, gwiazd utajonych w błękitach i nieskończonych między nimi przestworzy. Nie czując bynajmniej strachu towarzyszącego zazwyczaj świadomemu spoglądaniu w bezmiar wszechświata, wychyliła się jakby poza przestrzeń i czas, przeistoczona

<sup>21</sup> M. Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1965*, t. 2, Warszawa 2009, s. 16.

w bezosobową szczęśliwość zespolenia się z czymś niebywale potężnym, łaskawym i ponad wszelką prawdę prawdziwym. To już nie było, zdarzające jej się często od dziecka, poczucie obecności przenikającej wszystko tajemnicy, ale skąpanie się w niej niby w rodzimym żywiole. [...] Zanurzyła się była bezpiecznie w otchłań bytu i znalazła tam Boga, rzeczywistość nadprzyrodzoną, źródło, istotę i cel wszelkiej rzeczy. [...] praca... miłość... przynoszą to samo poczucie wyzwalającego zespolenia się z bytem, chociaż na inny sposób. Osobowość nie roztapia się wtedy, a skupia się i rośnie, ale ostatecznie dochodzi do tego samego poczucia nieskończoności. – W kontemplacji nieskończoność mnie wchłania, w twórczym wysiłku myśli, uczuć czy woli ją wchłaniam ją w siebie... (NiD IV, 12–14).

U Nietzschego przyroda, obecna w sztuce dionizyjskiej, a więc tragicznej, „przemawia do nas swym prawdziwym, niezniekształconym głosem: «Bądźcie tacy jak ja! Pośród nieustannej przemiany zjawisk – wiecznie twórczą, wiecznie zmuszającą do istnienia, tą zmianą zjawisk wiecznie kontentującą się pramatką!»<sup>22</sup>. Ale Agnieszka nagle przestaje chcieć, a w dodatku pozwala sobie na gest skrajnego ryzyka – zaczyna epifanię analizować:

A jeśli to zatracenie się wśród ciszy i pogody nie jest wzniesieniem się do Boga, lecz przeciwnie, zapadnięciem się w niższe, zwierzęce czy roślinne, czy nawet mineralne istnienie? Nie darmo nawiedza nas to najczęściej, gdy napawamy się przyrodą. Ale kto wie, czy doznać tego, co się odbywa i pulsuje w niemym świecie pozaludzkich stworów, nie znaczy być na prawdziwej drodze do zrozumienia istoty bytu, a więc myśli Bożej, która jeśli jest, jest i w martwym na pozór kamieniu (NiD IV, 13).

Jeśli jest. Z punktu widzenia Agnieszki to sprawa jasna, że od owego „jeśli” już tylko krok do apokaliptycznej nieomal wizji autora *Zaratustry*:

A teraz, pozbawiony mitu, wiecznie głodny człowiek staje pośród wszelkich przeszłości i szuka korzeni, grzebiąc i ryjąc [...]. Na co wskazuje [...] trawiąca wola poznawania, jeśli nie na utratę mitu, utratę mitycznej ojczyzny, mitycznego łona macierzyńskiego?<sup>23</sup>

Myślę, że Dąbrowska (której prozę – zaznaczymy na marginesie – w ramach swoistej ostatecznej nobilitacji-mityzacji Julian Przyboś nazwał „centrum polszczyzny”<sup>24</sup>) tę właśnie stratę chciała unieważnić, zatrzeć i znieść. Określenie „saga”, które do jej powieści przywarło tak, że w związku z nią wymawia się je niemal automatycznie, patrząc pod tym kątem, znów trzeba uznać za właściwe i trafne w sposób szczególny. Ta powieść jest budowaniem świata, to znaczy mitu. Jest tym bardziej niż czymkolwiek innym, choć jest – ma się rozumieć – nie tylko tym, tyle różnych, często sprzecznych pierwiastków w sobie zawiera. Otwierają ją słowa „dawnymi czasy”, kończy słowo „pamięć”. Świat, który pracowicie wznosi na setkach stron, ma być bezpieczny, ma być – jak w nastoletnim majaczeniu Agnieszki – „dobry, dobry...” (NiD III, 476), dawać poczucie, że oto na naszych oczach bezmyślny gąszcz niczym niezwiązanych ze sobą zdarzeń „zorganizował się

<sup>22</sup> F. Nietzsche, *Narodziny tragedii. Niewczesne rozważania*, przeł. P. Pieniążek, M. Łukasiewicz, Łódź 2012, s. 117.

<sup>23</sup> Tamże, s. 144.

<sup>24</sup> Zob. T. Drewnowski, *Rzecz...*, s. 222.

[...] w dorzeczną, piękną całość” (NiD IV, 311). Czy w takim świecie nie ma miejsca na słabość w rozmaitych możliwych wersjach i kształtach? Sądzę, że jest, a nawet, że to nie jedno miejsce, lecz miejsca różne, bo i ona przecież jest wieloraka. Skoro jednak tak, to poruszyć trzeba, chociaż skrótowo, jeszcze jeden nad wyraz istotny aspekt powieściowej rzeczywistości, który nietrudno czytać jak niewykorzystaną do końca szansę. By nie rzecz wprost: szansę zmarnowaną.

Najważniejsza, najbardziej rozpoznawalna z kobiet powieści jest, jak wiadomo, pastwą bólu i lęku; jej córka, tak gorączkowo chcąca coś tworzyć, budować, zmieniać na lepsze, pragnie być córką ojca. Zdaje się, że autorka *Gwiazdy zarannej* nie tyle z premedytacją stawia swoje kobiety po stronie cienia, ile raczej rozdziela postaciom role, nie troszcząc się, że w toku interpretacji rola i płeć mogą zacząć o sobie nawzajem mówić. Zawieśmy na moment wiedzę o tych postaciach, o ich zakotwiczeniu w życiu pisarki, o ich pierwowzorach (w tym o niej samej), a bez trudu stwierdzimy, jak dokładnie wymienne są owe role. Nie trzeba wyobraźni specjalnie żywej, by w miejscu znanych nam dobrze *Nocy i dni* zobaczyć powieść o trawionym żądzą nowości neurotyku, mężu wspaniałomyślniej, czulej kobiety dźwigającej na barkach odpowiedzialną i pełną poświęceń pracę. „Nie istniała dla mnie nigdy odrębna sprawa kobieca – mówi Dąbrowska. – Istnieje sprawa ludzka<sup>25</sup>”. Bez wątplenia tak jest, nie po raz pierwszy rozpoznania z *Dzienników* i praktyka pisarska brzmią *unisono*.

A przecież, jeśli tylko wystarczająco przejrzyjemy się metaforą Nietzschego, w której zrastają się mit i macierzyńskość, łatwo przyjdzie nam odkryć, że na swoiście pojętym metapoziomie tekst (tekstura) Dąbrowskiej ocala ważność „odrębnej sprawy kobiecej”, kobiecego pisania i doświadczenia. Jak to się dzieje?

wyznają, że dostatecznie ważnym dla mnie problemem wydaje mi się sam fakt życia człowieka i jego zetknięcie się z grozą, dziwnością, zawilocią, tajemnicą istnienia. [...] My pisarze dajemy [...] świat stworzony na nowo z elementów surowej rzeczywistości, zestawiony artystycznie z pełnym miłości pragnieniem, by pomóc nieco życiu, dopełnić je, spotężnić w tych miejscach, gdzie ono jakby spudłowało, niedociągnęło wątku do końca, zamazało swoje właściwe oblicze<sup>26</sup>.

Tak pisała Dąbrowska w liście do zaprzyjaźnionego uczonego i widocznie sama czuła w tych słowach coś na kształt pisarskiego credo, skoro skrupulatnie zacytowała całość w swoim dzienniku. Mnie ten tekst wydaje się wart uwagi z kilku powodów. Dąbrowska widzi swoją rolę pisarki jako pracę nie tyle ze sfery *episteme* (choć i to także), nie tyle ze sfery etyki (choć i to bardzo), ile ze sfery elementów i fundamentów, sfery ontologii. To praca w bycie, w samej jego materii – najzupełniej dosłowne stwarzanie świata, stwarzanie go na nowo (po katastrofie?), z surowego tworzywa, by nas, czytających i czy-

<sup>25</sup> M. Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1965*, t. 9, Warszawa 2009, s. 152.

<sup>26</sup> M. Dąbrowska, *Dzienniki 1914–1965*, t. 2, Warszawa 2009, s. 141–142.

tające, nim obdarować („my pisarze dajemy”). Dajemy i pragniemy z miłością pomóc temu, co zamazane, mgliste, słabe, niecelne. Autorka *Znaków życia* nie sięga wprawdzie, bo sięgać chyba nie może, aż tak daleko, żeby w chropowatościach, niedociągnięciach dostrzec wartość i cel, a mimo to myśl o tych byle jakich, wybrakowanych obszarach rzeczywistości nie nasuwa jej pojęć z kręgu odrazy. Słowem, które nasuwa, jest „miłość”, od którego przecież już tylko krok do jednego z najistotniejszych słów „myśli słabej”, tak jak ją rozumiał Constantin Noica:

Na miejsce epistemologii i zracjonalizowanej etyki Noica proponuje pojęcie miłā jako wyznacznik postawy człowieka wobec rzeczywistości. Pojęcie to słownikowo znaczy litość, miłosierdzie, sympatia w znaczeniu współodczuwania, ale można też je chyba przetłumaczyć jako zmiłowanie. [...] Człowiek [...] „schodzi” ku światu, współodczuwa z nim, sam ułomny – pochyla się nad jego ułomnością<sup>27</sup>.

Czy Dąbrowska, stosując retorykę czulej troski, mówiąc o obdarzaniu, napomykając o wątkach tekstowych tkanin, świadomie pragnie wyposażyć swoje logiczne, pełne dyscypliny wewnętrznej, „czyste” pisanstwo w znaki kobiecej siły? Być może nie. Pozostawiła jednak zbyt wiele tropów, bym ja z kolei mogła je pozostawić bez komentarza. Melancholię, jako sposób bycia osłabionego, wyegzorcyzmowała ze swego świata w jej formie czystej, jest tam ona jednak stale obecna: jako możliwość, wyczuwalny, kuszący i niebezpieczny znak zapytania, wciąż zawieszony nad afirmatywną apollińskością.

Świat, który od niej, autorki, dostaliśmy – jak każdy inny, a zwłaszcza może jak każdy zrobiony z tekstu – nie został nam dany raz na zawsze. Dostajemy go znowu, za każdym razem znajomy, chociaż zmieniony, ilekroć, za pomocą takich lub innych metod, narzędzi, słów – próbujemy się znowu do niego dostać. O ile, rzecz jasna, próbujemy.

## Bibliografia

- Baudelaire C., *Miłość kłamstwa*, przeł. Z. Bieńkowski, w: tegoż, *Kwiaty zła*, wybór M. Leśniewska i J. Brzozowski, posłowie J. Brzozowski, Kraków 1994.
- Bieńczyk M., *Melancholia. O tych, co nigdy nie odnajdą straty*, Warszawa 2012.
- Cioran E., *Zarys rozkładu*, przeł. M. Kowalska, Warszawa 2006.
- Dąbrowska M., *Dzienniki 1914–1965*, oprac. zespół pod kier. T. Drewnowskiego, t. 1–13, Warszawa 2009.
- Dąbrowska M., *Ludzie stamtąd*, Warszawa 1987.
- Dąbrowska M., *Noce i dnie*, oprac. E. Głębińska, t. 1–3, Warszawa 2013.
- Drewnowski T., *Rzecz russowska. O pisanstwie Marii Dąbrowskiej*, Kraków 2000.
- Dybel P., *Zagadka „drugiej płci”. Spory wokół różnicy seksualnej w psychoanalizie i w feminizmie*, Kraków 2012.
- Dybel P., *Żaloba i melancholia*, w: tegoż, *Urwane ścieżki. Przybyszewski – Freud – Lacan*, Kraków 2000.
- Freud S., *Żaloba i melancholia*, w: tegoż, *Psychologia nieświadomości*, przeł. R. Reszke, Warszawa 2009.

<sup>27</sup> A. Zawadzki, *Literatura a myśl słaba*, Kraków 2009, s. 31–32.



- Głębińska E., *Dąbrowska (nie)znana*, Warszawa 2016.
- Księga kaliska. W stulecie urodzin Marii Dąbrowskiej*, red. T. Drewnowski, Z. Libera i E. Steczek-Czerniawska, Kalisz 1996.
- Maciąg W., „Noce i dnie” Marii Dąbrowskiej, w: *Lektury polonistyczne: Dwudziestolecie międzywojenne. Druga wojna światowa*, t. II, red. R. Nycz, Kraków 1999.
- Markiewicz H., „Noce i dnie” Marii Dąbrowskiej na tle polskiej tradycji powieściowej, w: tegoż, *W kręgu Żeromskiego*, Warszawa 1977.
- Nietzsche F., *Narodziny tragedii. Niewczesne rozważania*, przeł. P. Pieniążek, M. Łukasiewicz, Łódź 2012.
- Nietzsche F., *To rzekł Zaratustra. Książka dla wszystkich i dla nikogo*, przeł. S. Lisiecka i Z. Jaskuła, posłowie M. P. Markowski, Warszawa 1999.
- Nietzsche F., *Wola mocy*, przeł. S. Frycz i K. Drzewiecki, Kraków 2015.
- Zawadzki A., *Literatura a myśl słaba*, Kraków 2009.